

Zaklinacz mrówek

(Dokończenie ze strony 9)

skopało – bo życie poetów zawsze kopie w dupę, a jest to z reguły dupa goła, oszpecona, biedna, ogołocoła z godności i powagi. Tam plecy kończą swą szlachetną nazwę i rozpoczyna się... nicość. Milkną słowa. I staje się samotność, i smutek, i – tak często i nazbyt głośno krytykowane – tego naszego karygodnego oderwania się od rzeczywistości. Innym – tym normalnym – (choć cóż to za normy) – poeta przeszkadza, albo jest powodem choćby kpin, albo choć pobłażania, skrytego półśmiechu, albo (i to chyba najlepsze) obojętności zmieszanej ze skrywaną szczyptą pogardy oraz powszechnego niezrozumienia. Zdziwienie jest grzecznością. Zapewniam. Choć w naszych „spotkaniach” z innymi to tylko fasada...

*nasze spotkania (...)
są próbą kreacji świata
rozpisanego na role
które przyszło nam grać
dla samotnego widza
w którym z czasem rozpoznajemy siebie*

Po czym poeta, aby nie oszaleć kreuje sobie swoje złudzenia, swój świat wolności, swoje credo jak choćby to, że *tyle jest stacji / na których można wysiąść*. Otóż niestety: Tadzium, Andrzej, Darku... i piszę to też do wszystkich innych „ludzi pióra z zacerpniętym atramentem poezji” – coraz mniej jest takich stacji. Jedziemy pociągami donikąd, a ktoś popsuł hamulce bezpieczeństwa. Jedziemy na zatracenie i tylko wiersze oraz prawo ich pisania jakoś pozwalają nam przetrwać...

Zakończę, Drogi Tadeuszu, „zaklinaczu i przyjacielu mrówek”, Twoim wierszem... najwłaściwszym z właściwych, tu i teraz, wierszy... o naszych wspólnych i potencjalnych przecież... domach wariatów: (choć przecież jest to wiersz o... kawce...)

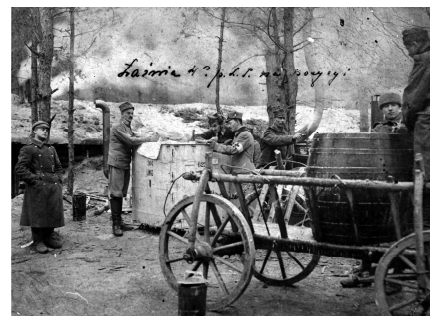
*To my budujemy domy wariatów żeby zamykać
w nich innych niż my Linia podziału
zawsze się znajdzie Niski
wysoki Czarny biały Zawsze
gorszy od nas Nawet
dla siebie stawiamy mury
żeby udowodniać iż jesteśmy
lepsi niż w rzeczywistości Tak mało
w nas wiary w ludzi Nie mamy
w sercach miejsca nawet dla Boga
bo i Jego musielibyśmy zamknąć
za murem Trzeba być przecież wariatem
żeby chcieć zbawiać świat Kiedyś
uratowałem małą kawkę
która wpadła do rynny Nie zapomnę jej
spojrzenia kiedy wzbijała się
w górę Ponad wszelkie mury ...*

Andrzej Walter

Wódka i karabin

W domu dziadka Jana Jurkowskiego, gdzie upłynęło moje dzieciństwo, nazwisko Roś powtarzano wielokrotnie. Miało to związek z pewną przygodą, a może i wpadką, jaką zaliczył Dziadek w trakcie służby w czwartym pułku piechoty Legionów Polskich. Dziadzio służył w oddziale sanitarnym pułku jako liniowy podoficer sanitarny, a wspomniany Roś był tam woźnicą konnego wozu sanitarnego. Wóz służył najczęściej do transportu rannych legionistów z pola walki, a także i tych, z których życie odeszło już bezpowrotnie. Roś wywiązywał się należycie ze swych obowiązków. Każdego ranka, gdy była taka potrzeba, sanitarny wóz z Rosiem jako woźnicą, gotowy był do natychmiastowego wyjazdu. Niekiedy nasz bohater za wzorowe wykonywanie swoich obowiązków otrzymywał nieoficjalną nagrodę, którą stanowił kieliszek wódki, jako że w pułkowej aptece nie brakowało spirytusu, nazywanego, zdaje się, apiecznym. I właśnie ta nagroda, a dokładnie jej konsumpcja stała się przyczyną chyba największej wpadki, w jaką mój Dziadek, wspólnie ze wspomnianym Rosiem, zostali wmieszani. W owym feralnym dniu dziadek pełnił służbę na Izbie Chorych, mieszczącej się na parterze zajmowanego budynku, a nieco wyżej, na tzw. półpięterku mieściła się dyżurka pracującego tam oficera-lekarsza. W pewnej chwili wszedł do izby nasz Roś, wolno przypuszczając, że po konsumpcji obiecanej wcześniej nagrody, wziął do rąk jeden ze stojących w kozłach karabinów, i na środku sali rozpoczął pokaz, a właściwie parodię musztry wykonywanej przez carskich żołdatów. Musiał być człowiekiem o dużej „vis comica”. Podczas wyczynów naszego Rosia ogólna wesołość zapanowała wśród leżących na sali rannych żołnierzy. I nagle, po którymś z mocniejszych przytupów, gdy kolba karabinu zderzyła się mocniej z podłogą sali, trzymany w ręku Rosia karabin niespodziewanie wypalił. Karabinowy pocisk przebił sufit i przeleciał przez pomieszczenie dyżurki, niebezpiecznie blisko znajdującego się tam oficera dyżurnego – lekarza. Ten, lotem błyskawicy, zbiegł na dół, przyłapując przerażonego Rosia na środku sali, z dymiącym karabinem w rękach. Natychmiast wyczuł naszego bohatera. Na zadane pytanie: „Roś, kto wam dał wódki” – ten odpowiedział: „No... no ... Jurkowski, panie doktorze”. Rozpoczęło się natychmiastowe dochodzenie. W jaki sposób ukarano obydwu – przekazy domowe milczą. To, że ich ukarano, nie budzi wątpliwości, ale zdaje się, że kary nie były zbyt dolegliwe. Do degradacji mojego dziadka nie doszło. Mogli wstawić się za nim por. Ludwik de Lavoix z pobliskich Młodziejowic, który już wcześniej okazywał dziadkowi swą życzliwość, a może i ppor. Bronisław Stępowski – lekarz, towarzysz frontowych dróg dziadka. Ten ostatni dopiero w 1916 roku otrzymał dyplom doktora

wszechnauk lekarskich (i niejako automatycznie stopień oficera), lecz w tamtym czasie, oficerem jeszcze nie będąc, miał mniejsze wpływy w komendzie pułku. Są to wszystko tylko luźne domniemania. Jak było naprawdę, nie dowiemy się najpewniej już nigdy.



Na zdjęciu: Jan Jurkowski (drugi z lewej).

Całkiem niedawno, dosłownie kilka miesięcy temu, udało mi się odnaleźć w internecie stronę www.muzeumpiłsudski.pl. Strona ta posiada zakładkę – wykaz legionistów – gdzie można znaleźć ponad trzydzieści tysięcy nazwisk żołnierzy Legionów Polskich, wraz z mniej lub bardziej dokładnym przebiegiem ich służby. Stamtąd można się dowiedzieć, że wspomniany w tekście Roś, będący żołnierzem 4 p.p. L.P., miał na imię Antoni. Urodził się w Sławkowie koło Olkusza. Z zawodu był blacharzem. I jeszcze jedną informację podają legionowe kroniki: Antoni Roś zaginął w dniu 6 lipca 1916 roku. Zaginął, to nie znaczy zginął. Wszak wielu żołnierzy, uznawanych za zaginionych później się odnajdywało. Czy tak było w przypadku Antoniego Rosia, trudno dzisiaj odpowiedzieć. Może bliższa albo dalsza jego rodzina mogłaby na to pytanie odpowiedzieć? Zastanawiałem się kilkakrotnie, co zbliżyło do siebie tych dwóch ludzi, tj. Antoniego Rosia ze Sławkowa w pow. olkuskim i Jana Jurkowskiego, młynarza z Maszkowa w powiecie miechowskim. Myślę, że chyba bliskość miejsc zamieszkania obydwu. Będąc mieszkańcami sąsiadujących ze sobą powiatów, mogli poczuć szczególną przyjaźń. Wziąwszy pod uwagę, że do Legionów trafiali Polacy ze wszystkich stron Europy, a nawet spoza jej granic, te skromne kilkadziesiąt kilometrów nie stanowiło poważniejszej różnicy.

Tak się zakończyła chyba największa, obok dwóch innych, nieszczęsna, ale i zabawna przygoda mojego Dziadka podczas jego czteroletniej służby w Legionach Polskich.

Jan Matzke

